

PAUza

Akademicka



Rok XVII

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności Nr 690

pauza.krakow.pl

Kraków, 23 maja 2024

pau.krakow.pl

Nauka tolerowana (II)

W tym etapie 'rozwoju' nauki w kraju mamy niemało posunięć, które osobiście klasyfikuję jako 'politykę przedrozbiorową'. Co rusz z administracji państwowej dochodzą głosy o potrzebie (wręcz konieczności!) reformy PAN. Bez uzasadnienia! Może idzie o poddanie PAN administracji, jak to kilka lat temu uczyniono w Rosji z tamtejszą Akademią? Zobaczymy, co los nam zgotuje, ostatnio znowu mają nas reformować. Apeluję o umiar i rozsądek, odwołując się do fundamentalnych idei tworzenia PAN. Może istotnie warto rozważyć powrót do koncepcji akademickiego sposobu zarządzania nauką w miejsce obecnego biurokratycznego?

PAN to także korporacja członków. Ma ona wielu antagonyistów. Gdy co parę lat odbywają się wybory nowych członków, w miejsca zwolnione w naturalny sposób, to konkurencja jest niezwykle silna. Dostajemy parudziesięciu nowych członków, więc zwolenników, i kilkakrotnie więcej przeciwników, czyli tych, którzy przegrali, chociaż uważają, że również należą do naukowej elity. Graniczna liczba 350 nie zmienia się od wielu lat. Gdy kiedyś zapytałem ówczesnego Ministra, 'na czym polega magia liczby 350', to otrzymałem inteligentną odpowiedź, że w naszej strefie kulturowej przyjmuje się normę mniej więcej 1 miejsce na 100 tysięcy obywateli. Można dyskutować na temat tego szczegółu, ale w dyskusjach pojawia się argument finansowy. Członkowie PAN otrzymują tzw. członkowskie, więc zwiększenie ich liczby to dodatkowe wydatki dla państwa, zresztą bardzo małe i praktycznie niewidoczne w budżecie. Może śmieszne, ale tak to działa. Na marginesie dodam, że to członkowskie od ćwierćwiecza nie jest rewaloryzowane, co jest kolejnym dowodem lekceważenia naszego środowiska, podczas gdy nowa Akademia utworzona przez Ministerstwo zyskała członkowskie parokrotnie wyższe. Nigdy w ciągu lat nie słyszałem, by ktokolwiek z członków PAN się na to uskarżał, także w rozmowach prywatnych; trzeba silnie podkreślić, że do PAN się nie idzie dla pieniędzy, naprawdę!

Bardzo by się przydały dodatkowe miejsca dla nowych, także młodszych członków. Bo uczeni żyją dłużej! Sposobem praktykowanym w niektórych organizacjach jest przeniesienie seniorów do kategorii 'członka seniora', który nie wlicza się do ogólnego bilansu. Tak na przykład postępuje Towarzystwo Naukowe Warszawskie, ale tam członkowie nie są opłacani z budżetu państwa.

Tak czy inaczej, wyrażam pogląd, że PAN powinna zyskać więcej miejsc dla nowych członków. Polska Akademia Nauk należy do najmniej licznych w świecie!

Aktualna sytuacja jest, bez przesady, zatrważająca. Po kolei:

I) Instytuty nie są finansowo zależne od PAN, fundusze na badania uzyskują w konkursach ministerialnych i w grantach z różnorodnych źródeł. PAN formalnie za nie odpowiada, lecz nie ma wpływu ani na tematykę badań, ani, praktycznie biorąc, na obsadę kadrową, czy wiele innych spraw podstawowych dla działalności instytutów. Stosowana niekiedy

w Max-Planck-Gesellschaft zasada, że przejście lidera placówki (laboratorium, zazwyczaj jest to część instytutu) na emeryturę oznacza jej likwidację i utworzenie nowej w drodze konkursu, nie ma u nas (i nigdy nie miało) zastosowania. A przecież tego typu zasada gwarantuje utrzymanie awysokiej pozycji, jako że następcą genialnego lidera nie zawsze jest genialny, łagodnie rzecz ujmując. Wiem, że w MPG stosowanie takiej zasady oznacza niemało komplikacji, problemy z zatrudnieniem i kłopoty z lokalną władzą, ale starają się silnie, a niektóre z polskich laboratoriów zyskiwały interesujące wyposażenie laboratoryjne w formie darów od likwidowanych laboratoriów MPG. Aktualna sytuacja finansowa instytutów PAN, także tych najlepszych, jest niezwykle trudna i nie ma rozsądnego tłumaczenia tych kłopotów! Bo to są sankcje bez usprawiedliwienia. Doszło do tego, że doskonałych placówek nie stać na wprowadzenie obligatoryjnych podwyżek płac i spotykają się ze strony władz z zarzutami nieumiejętnego zarządzania!

II) Korporacja członków PAN odczuwa lekceważenie przez władze. Zaczęło się już w początkach reformy naszego państwa, kiedy ówczesni ekonomiści ukuli tezę, że nauka nie przynosi korzyści finansowych, więc nie warto w nią inwestować. Nieco złośliwie przytoczę opinię pewnego myśliciela, który ocenił, że nauki ekonomiczne są aktualnie w takiej fazie rozwoju, w jakiej astronomia była w epoce przedkopenikańskiej, i w szczególności nie jest w stanie przewidzieć kryzysów ekonomicznych. Zatem może to była podstawa tych przekonań, za które do dziś doświadczamy skrajnego niedofinansowania. Czesi, których jest mniej niż nas, wydają na naukę większy procent PKB niż Polska, my tułamy się w ognie państw UE. A panowie ekonomiści powinni wiedzieć, że cały świat produkuje monokrystaliczny krzem (podstawowy materiał nowoczesnej elektroniki, od telefonów po systemy radarowe itd.) w oparciu o metodę Jana Czochralskiego, śp. wybitnego polskiego chemika, który nie ma w Warszawie ulicy swego imienia, bo Rada Miasta nie wyraziła na to zgody (taka kolejna niekompetencja). Zaś w polskich laboratoriach teraz powstają najnowocześniejsze opracowania także w tych dziedzinach. Nie brakuje innych przykładów! **Disce puer!**

Warto przypomnieć, że przed laty oferowano Rządowi RP usługi eksperckie komitetów PAN w zakresie badań strategicznych. Żadnej odpowiedzi wówczas nie było.

Podsumowanie wydaje się oczywiste. Nasza nauka z fazy poparcia stopniowo przeszła do fazy tolerancji. Z okresu podziwu dla pracy uczonego do jawnego lub skrytego lekceważenia.

Dodam tylko, że powyższy tekst nie jest wynikiem osobistego rozczarowania pracą w nauce. Miałem to szczęście, że czułem się doceniony i usatysfakcjonowany wynikami. Ale nie podzielałem poglądów ekonomicznych reformatorów, niech może najpierw wezmą się za własną dziedzinę 'nauki' (?). Albo niech się głęboko zastanowią, dlaczego powstające w kraju innowacje nie przynoszą nam znacznych dochodów.

JANUSZ LIPKOWSKI

Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie
(emeritus)

W obronie habilitacji

Tak, biorę w obronę habilitację, gdyż uważam, że jest ona niezbędnym, w dużym stopniu intersubiektywnym i – co szczególnie ważne – zewnętrznym względem instytucji zatrudniającej młodego doktora kryterium ewaluacji dojrzałości naukowej. To otrzymanie habilitacji – poza potwierdzeniem dobrej pozycji naukowej habilitanta – umożliwi mu nie tylko podjęcie odpowiedzialnych społecznie obowiązków związanych z kształceniem nowych doktorów (promowania doktorów i opiniowanie rozpraw doktorskich i habilitacyjnych), ale też czynne włączanie się w prace komisji habilitacyjnych. Do tego trzeba dołożyć czekające na nowego doktora habilitowanego obowiązki o charakterze organizacyjnym. To też otwarta droga do otrzymania tytułu naukowego profesora.

Zdaję sobie sprawę, że – zwłaszcza po „rewolucyjnych” rozwiązaniach zaproponowanych przez min. Gowina w jego „Konstytucji dla nauki” i wysoce bezkrytycznie zaakceptowanych nade wszystko przez rektorów – w przygotowywanej NOWEJ (od podstaw) ustawie szczególnej uwagi wymagają przepisy dotyczące awansów naukowych. Kontrowersyjnym *novum* ustawy gowinowskiej było przyznanie jednostkom uprawnień naukowych (łącznie, w jednym pakiecie, doktorskich i habilitacyjnych!) w danej dyscyplinie naukowej, gdy spełniały one tylko jedno kryterium: w przeprowadzonej „ewaluacji jakości działalności naukowej” uzyskały kategorię: A+, A albo B+. RDN (następca CK) została wyłączona z procedury przyznawania owych uprawnień. Nie uwzględnia się też kryterium „kadrowego” (a uwzględniała je CK).

Przy pomnę podstawowe informacje odnoszące się do procedury habilitacyjnej:

1. Osoba ubiegająca się o nadanie jej stopnia doktora habilitowanego wskazuje „podmiot habilitujący”, który **posiada naukową kategorię: A+, A albo B+**. W szczególności może to być jednostka zatrudniająca zainteresowaną osobę (i tak jest najczęściej).
2. Podmiot habilitujący (a nie RDN) powołuje „komisję habilitacyjną”, która poprowadzi postępowanie w sprawie nadania stopnia doktora habilitowanego. Na 7 członków komisji habilitacyjnej RDN wskazuje 4 osoby (w tym jej przewodniczącego i 3 recenzentów), a podmiot habilitujący 3 osoby (w tym sekretarza, członka i 1 recenzenta).
3. Komisja habilitacyjna podejmuje uchwałę o nadaniu/odmowie nadania stopnia, która ma status opinii dla podmiotu habilitującego.
4. Podmiot habilitujący podejmuje uchwałę o nadaniu/odmowie nadania stopnia. Uchwała o nadaniu stopnia doktora habilitowanego jest ostateczna.

Mam jednak zastrzeżenia do procedury. Moim zdaniem, **wszyscy członkowie komisji habilitacyjnej powinni być powoływani przez RDN**. Także **postępowanie habilitacyjne powinno być przeprowadzone przez podmiot habilitujący wskazany przez RDN i niezatrudniający osoby ubiegającej się o nadanie jej tego stopnia naukowego** – to bardzo ważne! Zauważmy, że osoba habilitująca się jest w korzystniejszej sytuacji, gdy postępowanie habilitacyjne odbywa się w instytucji ją zatrudniającej (chociażby patrząc na to z psychologicznego punktu widzenia – występuje przed znanymi jej osobami, a one też ją znają, jest „swoja”). Takiej zaś możliwości nie ma osoba, która pracuje w instytucji nieposiadającej stosownych uprawnień. Twierdzę, że owe warunki „startowe” powinny być wyrównane. **Nie popieram tego, że to minister (a nie RDN) działający wedle własnego uznania sporządza wykaz dziedzin i dyscyplin naukowych** – tak, i to wyraźnie tendencyjnie, postąpił w końcówce swojego urzędowania min. Czarnek, uzupełniając wykaz wprowadzony przez min. Gowina. Taki wykaz – być może co jakiś czas, ale nie nazbyt często, aktualizowany – powinien być sporządzany przez RDN.

Osoba ubiegająca się o przyznanie jej stopnia doktora habilitowanego nie musi przedstawić odrębnej „rozprawy habilitacyjnej” rozumianej jako opublikowana w formie książki monografia naukowa. Przesądza to art. 219 ust. 1 pkt 2 lit. b. Może ona przedstawić: **„1 cykl powiązanych tematycznie artykułów naukowych opublikowanych w czasopiśmie naukowym lub w recenzowanych materiałach z konferencji międzynarodowych [...]”**. Czasopisma powinny być ujęte w aktualnym wykazie ministerialnym. Ten zaś – żywią taką nadzieję – będzie sporządzony przez kompetentne pod względem naukowym grono zewnętrznych (względem ministerstwa) ekspertów. Obowiązujący wykaz budzi uzasadniony sprzeciw środowiska naukowego.

To jest rozwiązanie życzliwe dla obyczajów publikacyjnych badaczy prowadzących badania naukowe w obszarze jakiegokolwiek dyscypliny naukowej. Przykładowo, monografie są dobrze widziane w naukach humanistycznych (np. historii czy literaturoznawstwie). Część młodych badaczy prace doktorskie składała pod postacią cyklu artykułów – zob. art. 187 ust. 3 rzeczonej ustawy). Apeluję o uszanowanie oceny naukowej wartości publikacji akceptowanej przez przedstawicieli danej dyscypliny naukowej. **Nie narzucamy innym standardów naukowych stworzonych w obrębie dyscyplin z obszaru science.** Nie zamieniamy też (co powoli staje się obowiązującą wszystkich „religią” – *cuius regio, eius religio*) bezpośredniej oceny naukowej wartości jakiegokolwiek artykułu na ocenę samego czasopisma (wskaźnik IF), w którym ten artykuł został opublikowany. **I nie ulegamy czarowi pozornej obiektywności wskaźników bibliometrycznych.** Mam, przede wszystkim, na myśli tzw. „dziedziczenie prestiżu” czasopisma (np. określanego na podstawie wartości wskaźnika *SCImago Journal Rank (SJR)* przez opublikowany w nim artykuł).

Przeciwnicy habilitacji uważają, że konieczność jej użycia odciąga młodych po doktoracie, badaczki/badaczy od realizacji ich karier naukowych. Zwłaszcza pokrzywdzone – wg niektórych krytyków – czują się osoby, które wracają do kraju po dłuższych pobytach w zagranicznych ośrodkach naukowych i zmuszone są do poddania się tej, ich zdaniem, zbędnej i „katorżniczej” procedurze. Jeżeli jednak – tak uważam! – zdolny młody doktor spędził dłuższy czas, pracując naukowo w dobrym zagranicznym ośrodku badawczym (ilu w skali kraju ich jest?), to jestem przekonany, że wraca do kraju bądź z już opublikowanymi wartościowymi (bywa, że współautorskimi – ustawa nie stawia przeszkód) artykułami naukowymi bądź z wstępnie opracowanymi materiałami do nowych publikacji. Pracując naukowo – także w kraju! – i systematycznie publikując, po pewnym czasie stwierdzi, że kilka prac układa się w oryginalny, spójny tematycznie cykl. A to może być habilitacja właśnie. Zatem habilitacja może być pozytywnym „wypadkiem” w pracy zawodowej. Nie demonizujmy! A o jej faktycznej wartości zdecydują i tak **zewnętrzni recenzenci** i komisja habilitacyjna (by też była zewnętrzna). Nie jestem przekonany – a znam dość dobrze środowisko nauk humanistycznych i społecznych – że powoływane i działające wewnątrz danej instytucji komisje (o co apeluję – jako alternatywne rozwiązanie – autorzy apelu skierowanego do ministra) są w stanie dokonać dostatecznie wnikliwej (zobiektywizowanej – oderwanej od subiektywnych i niekoniecznie tylko naukowych kryteriów) oceny. **Potrzebne jest prawdziwe, a nie pozorowane, kryterium zewnętrzne.**

Uważam, kończąc, że dalsze rozcieńczanie kryteriów zapisanych w gowinowskiej (a potem „twórczo” rozwijanej przez min. Czarnek) ustawie sprawi, że habilitacja stanie się quasi-naukową wydmuszką. **Czas na nową ustawę.**

JERZY MARIAN BRZEZIŃSKI

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

Tradycjonaliści epoki kamienia

W niniejszym tekście będzie mowa o ważnych przemianach gospodarczych, które miały miejsce w ostatnich okresach prehistorii na terenach Niżu Środkowoeuropejskiego. Przez wiele tysięcy lat rozwijały się tu kultury, których podstawy gospodarcze stanowiło wyłącznie łowiectwo, rybołówstwo i zbieractwo roślin. Okres ten, zwany paleolitem, kończył się ostatnim podokresem – mezolitem. Ludy mezolityczne uprawiały osadnictwo ruchome, w dużej mierze zależne od występowania różnych gatunków zwierząt. Zamieszkiwali w szałasach i półziemiankach. W polowaniu posługiwali się łukiem i oszczepem. Budowali też pułapki zakładane na szlakach wędrujących zwierząt. W połowie VI tysiąclecia, około 5400 lat p.n.e., na teren Niżu wkroczyły z południa pierwsze grupy neolitycznych rolników i hodowców bydła. Niosły ze sobą nowy, neolityczny sposób życia. Zakładali osady stałe, złożone z solidnych budowli, choćby z tego powodu, że trudno byłoby wędrować ze stadami bydła. Szczątki zwierząt znajdowanych przez archeologów na ich stanowiskach to głównie kości bydła.

Zatem stanęły wobec siebie dwie grupy ludzi o dwóch różnych typach kultury i różnych typach działalności gospodarczej. Z czasem na ten nowy model gospodarki zaczynają przechodzić lokalni mezolityczni łowcy i zbieracze.

Do niedawna sądzono, że gospodarka typu neolitycznego, oparta na rolnictwie i hodowli, była dla mezolitycznych ludzi tak atrakcyjna, że proces akulturacji przebiegał prędko. Mezolityczni łowcy, rzuciwszy łuki i oszczepy, chwycili za radła i zaczęli paść bydło. Proces ten nazwano nawet „rewolucją neolityczną”. Jednak wyniki ostatnich badań wskazują, że nie zawsze tak było. Sądząc z najnowszych badań archeologicznych, wiemy, że na terenach sprzyjających łowiectwu, rybołówstwu i zbieractwu, zwykle piaszczystych i nieurodzajnych, ludzie trudniący się gospodarką ekstensywną, mezolityczną trwali długo. Grupy te nazywamy paraneolitycznymi, gdyż żyły one równolegle z osadnictwem sąsiadujących przybyłych neolitycznych rolników i hodowców. Na sprzyjających łowcom i rybakom piaszczystych, pokrytych lasem terenach, w pobliżu rzek i licznych jezior paraneolit przetrwał długo, bo aż do początków epoki brązu około 2000 lat p.n.e.

Trudno im się dziwić. Obliczono, że w dębowo-laszczynowym lesie w mezolitycznym okresie atlantyckim można było z jednego dębu zebrać 1000 litrów jadalnych żołędzi, pół tony orzechów laskowych z hektara, 5–10 ton grzybów z jednego kilometra kwadratowego, a jeden zbieracz mógł zebrać 13–15 kilogramów jagód dziennie w okresie dojrzewania. Sądząc z analizy szczątków zwierząt pochodzących z badań stanowisk torfowych, gdzie kości nie ulegały zniszczeniu, mięso ssaków stanowiło około 70% pożywienia, ryby – 10%, ptactwo – 5%, a pożywienie roślinne około 15%. Jednocześnie wiadomo, że w początkach osadnictwa przybywających grup ludności neolitycznej z jednego zasianego ziarna uzyskiwano w żniwach niewiele, bo zaledwie trzy ziarna, ale spo-

żywano tylko dwa, gdyż jedno ziarno należało zostawić dla następnych siewów. Rolnikom zagrażały też często różne klęski, takie jak susza, choroby zboża czy szkody powodowane przez zwierzęta. Dobrze przystosowani paraneolityczni łowcy i zbieracze, żyjący na sprzyjających terenach, zwykle omijanych przez neolitycznych rolników, mogli mieć często wyniki gospodarcze równe osiągnięciom sąsiednich rolników lub wręcz lepsze.

Z badań późnomezolitycznego stanowiska w Chwalimiu na ziemi lubuskiej wiadomo, że ludzie należący do obu opisywanych tu systemów utrzymywali między sobą kontakty. Na ceramice znajdowanej w Chwalimiu często występują zdobienia typowe dla różnych kultur wczesnoneolitycznych. Prócz nielicznej ceramiki w paraneolitycznym inwentarzu z Chwalimia brak jakichkolwiek elementów kultur neolitycznych, jak na przykład bardzo dla nich typowych licznych narzędzi kamiennych w postaci toporków czy gładzonych siekier z krzemienia. W profilu pyłkowym z paraneolitycznej osady nie odnotowano obecności pyłków roślin uprawnych czy nawet dzikich roślin towarzyszących uprawom, jak szczaw czy babka lancetowata. Rzeczony naczyń musiały więc zostać nabyte, czy może zrabowane neolitycznym sąsiadom.

Badania etnologiczne społeczności Bantu i Pigmejów w Afryce dostarczają przykładów współżycia ludów o odmiennych systemach gospodarczych, ludności myśliwych i rolników. Tutaj w okresie żniw pigmejscy łowcy i zbieracze wychodzili ze swych siedzib w dżungli, aby pomagać w pracy rolnikom Bantu, za co otrzymywali wynagrodzenie w postaci żelaznego noża czy innych metalowych wyrobów, bardzo dla nich cennych.

Tak więc, jak widać z powyższego, przyjęcie nowego typu gospodarki, a co się z tym wiąże – nowej kultury przez mezolityczne łowiecko-zbierackie ludy zamieszkujące Niż Europejski bynajmniej nie było procesem rewolucyjnym, lecz trwało długo. Najpierw musiało upłynąć sporo czasu, by osiągnięcia gospodarcze przybyłej ludności neolitycznej wzrosły na tyle, by ich przyjęcie zaczęło stawać się atrakcyjne dla łowców i zbieraczy. Dopiero po jakimś czasie gospodarcza działalność rolników mogła przyciągać myśliwych i zbieraczy.

Być może do przyjęcia nowego typu gospodarki i w ogóle neolitycznej kultury przyczyniły się również inne elementy niż tylko wyniki gospodarcze. Łowcom mezolitycznym mogły na przykład imponować rozwinięte w neolicie obyczaje kultowe, wierzenia, różne obrządku i rytuały, chowanie zmarłych, kurhany, trwałe konstrukcje mieszkalne czy wreszcie odmienna organizacja społeczna. Ich przyswojenie stawało się atrakcyjne dla łowców i zbieraczy. Ich przyswojenie stawało się atrakcyjne dla łowców i zbieraczy. Ich przyswojenie stawało się atrakcyjne dla łowców i zbieraczy. Ich przyswojenie stawało się atrakcyjne dla łowców i zbieraczy.

Od pojawienia się grup neolitycznych przybyłych z południa do zniknięcia ostatnich mezolitycznych łowców i zbieraczy minęło ponad 3000 lat. Przyjęty wówczas powoli intensywny typ gospodarki rolniczo-hodowlanej stanowi do dzisiaj podstawę egzystencji niemal całej ludzkości.

MICHAŁ KOBUSIEWICZ

Profesor emeritus
Instytut Archeologii i Etnologii PAN

Serialu o habilitacji ciąg dalszy

Od dobrych kilku dekad jednym z dyżurnych tematów w obszarze nauki i szkolnictwa wyższego jest kwestia habilitacji. Można się zastanawiać, czemu ten wątek prowokuje tak wielkie emocje, ale odpowiedź na to pytanie nie jest trudna. Przekroczenie magicznej linii habilitacji daje przepustkę do świata samodzielnych pracowników nauki, a to nie byle co. Właściwie opracowanie wszystkich wieloletnich dyskusji wokół tej sprawy wymagałoby sporządzenia grubego tomu, może nawet... rozprawy habilitacyjnej.

Ale żarty na bok, podobnie jak prof. Wróblewskiego i wielu innych badaczy zaskoczyło mnie, że tacy starzy wyjadacze jak Prezes PAN i Prezes Fundacji na rzecz Nauki Polskiej wystąpili z postulatem likwidacji procedury habilitacyjnej. Zazwyczaj przyjmowano – chociaż to wielkie uproszczenie – że zwolennicy „prawdziwej” nauki bronili habilitacji jako gwarancji pewnego przyzwoitego poziomu, a z drugiej strony grupowali się raczej jej przeciwnicy. Argumenty na rzecz usunięcia habilitacji z życia i kariery naukowej były różnorakie, jednym z koronnych było stwierdzenie, że hamuje ona rozwój tejsze kariery i odsuwa badacza od tego, czym się naprawdę powinien zajmować. Pamiętam, że były Przewodniczący Centralnej Komisji do Spraw Stopni i Tytułów prof. Tazbir nie mógł przyswoić sobie tej argumentacji, czemu dawał nieraz publicznie wyraz. Ale pamiętam też liczne protesty przeciw habilitacji ze strony związków zawodowych i innych organizacji nie całkiem naukowych, gdzie na liście podpisanych nie było habilitowanych, za to grad magistrów, przeplatanych z rzadka doktorami. Przez lata narastał tzw. problem adiunktów, obecny bardzo mocno np. na politechnikach, gdzie pracowało bardzo wielu doktorów w średnim wieku, którzy dawno już wyczerpali czas na zrobienie habilitacji i nic nie zwiastowało, że ją kiedykolwiek osiągną. Mieli poważne sukcesy dydaktyczne, prowadzili seminaria i byli wręcz oburzeni, że nie traktuje się ich na równi z profesurą.

Jak patrzeć dzisiaj na habilitację, czy jest jeszcze do czegoś potrzebna? Wydaje się, że w znacznej mierze dyskusja o niej jest tematem zastępczym. W hierarchii potrzeb nauki polskiej jest wiele spraw znacznie bardziej palących niż reformy procedur naukowych. Naprawdę dla zdolnego i chętnego do pracy człowieka zrobienie habilitacji nie stanowi bariery nie do przeskokowania i nie odciąga delikwenta ze słusznej drogi. Głównym problemem nauki polskiej jest zapaść finansowa i zbyt bliskie powiązania z polityką. Zachętą dla młodych mogą być dobre warunki pracy, w tym finansowe. Jak to osiągnąć, gdy wszystkie możliwe rządy po „rewolucji” w Polsce, a reprezentowały wszystkie istniejące orientacje, nie były w stanie przyznać na naukę 2–3 % PKB, zgodnie z zaleceniami Unii Europejskiej. Przecież nie przypadkiem najwyżej punktowane w rankingach światowych uczelnie polskie, czyli Uniwersytet Jagielloński i Uniwersytet Warszawski, sytuują się w końcu piątej setki, a jak jest dobry rok, to wchodzi do czwartej setki. To tym bardziej przykre, że flagowe uczelnie małych Czech i małych Węgier zawsze są nieco wyżej. Dlaczego?

Habilitacja nie jest już obowiązująca, ale nikt nas nie zwolni od dbania o poziom naukowy. Jak to osiągnąć? Wszyscy znamy wielu wykładowców akademickich, którzy uwikłani w obowiązki dydaktyczne i funkcje administracyjne zrobili sobie z tego sposób na życie i mają alibi, że w nawale funkcji i zobowiązań nie starcza im już czasu na naukę. Do tego dochodzi jeszcze wdzierająca się we wszystkie zakamarki życia akademickiego biurokracja. W ferworze debat nad różnymi aspektami życia akademickiego trzeba pamiętać o nieprzekraczalnych granicach. Jedną z nich jest właśnie poziom naukowy. Jak go utrzymać bez habilitacji? Trudno wskazać skuteczny sposób. Jeśli habilitacja nie jest konieczna, to pilnujmy chociaż, żeby była satysfakcjonująca jakościowo. Kiedyś – zwłaszcza w humanistyce – przepustką do habilitacji była rozprawa o rozmiarach książki, chociaż właściwie przepisy do końca tego nie wymagały. Obecnie habilitacje „za dorobek” prowadzą do znacznego ułatwienia. Uczestniczyłem w przewodzie habilitacyjnym, gdzie aplikant miał na koncie nieco artykułów, ale żadnej publikacji zwartej. Habilitację dostał, obecnie chodzi w glorii profesora uczelnianego i nie była to uczelnia tzw. prowincjonalna.

W dyskusji mamy często odwołania do wzorów i modeli zagranicznych. Jest ich wiele, np. nasi południowi sąsiedzi, Czesi, drogę do habilitacji przewidzieli tylko dla wykładowców wyższych uczelni, pracownicy instytutów naukowych, nawet wybitni i z imponującym dorobkiem, mogą dojść tylko do szczebla doktora nauk, jeśli zaś chcą być habilitowani, muszą przeprowadzić na uczelni odpowiednią liczbę zajęć dydaktycznych. Radykalowie w walce z habilitacją odwołują się do różnych przykładów, przecież na średniowiecznym Uniwersytecie w Bolonii rektorem był student. Poza tym w naszej rzeczywistości przez kilka lat maturę otrzymywali uczniowie, którzy jej nie zdali, na równi z tymi, którzy zdali. Zatem wszystko przed nami...

Oprócz dyskusji o habilitacji jest naprawdę wiele pilniejszych spraw. Wspomnieliśmy o finansowaniu nauki, ale przecież system punktowo-grantowy wymaga daleko idących melioracji, poza tym np. szkoły doktorskie nie gwarantują takiego poziomu, jaki był w systemie profesor-asystent. Pilnym postulatem jest indywidualizacja dyscyplin naukowych, naprawdę czego innego trzeba wymagać i oczekiwać od humanistów niż od reprezentantów nauk ścisłych i eksperymentalno-doświadczalnych. Jeśli od filozofa czy filologa będzie się wymagać zastosowań w gospodarce – a są takie postulaty – to wylejemy dziecko z kąpielą. Filozof ma chodzić i myśleć – tak jak Sokrates – i prowokować do myślenia, żeby lepiej rozwiązywać trudne problemy.

Należy uczynom dobrze płacić, ale wymagać dobrego poziomu, niech wreszcie nauka pozostanie polem dociekań i poszukiwania prawdy, a jeśli przy okazji uda się rozwiązać konkretne praktyczne problemy i przy tym zrobić jakiś biznes, tym lepiej.

WOJCIECH IWAŃCZAK

Wiceprezes Towarzystwa Naukowego Warszawskiego
Uniwersytet Jana Kochanowskiego w Kielcach

PAUza Akademicka - www.pauza.krakow.pl - tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.